

JÓZEF BARAN

Przystanek Marzenie (34)

(fragmenty)



To tylko lato...

To tylko lato przemija ścierniskiem na polach, nabrzmiałymi dyniami w ogródkach, pierwszymi siwymi liśćmi na kasztanowcach, na topolach i wiśniach, dymami na błoniach, antenami słoneczników na ogołoconej równinie, odbierającymi już pierwsze jesienne programy...

A ja odczuwam jakby przemijało całe moje życie na wietrze...

Tsunami

Most nad Popradem przepływającym przez miasteczko z rynekczkiem, które z pewnej wysokości, na przykład ze szczytu Kicarpa, można przykryć kapeluszem.

Padało przez kilka dni, teraz się rozpogodziło.

Pająki, korzystając z ładnej pogody, zakładają wieczorem sieci. Te sieci są rozwieszane podstępnie na przęsłach mostu tuż przy lampkach, do których zlatują się całymi chmurami zwabione światłem ćmy i muszki. Pracowite pająki całymi godzinami nawlekają na przęsła koronki nici. Do niektórych przyklejonych jest mnóstwo muszek. Inne sieci mają jeszcze za duże oka, tak że muszki przeletują przez nie i lecą dalej.

Wre praca. Dziesiątki, setki pajaków: dużych, mniejszych, malutkich, wszystkie uwijają się przy robocie, ożywione wielką nadzieją na pyszną biesiadę.

Znajoma, z którą obserwujemy gorączkową pracę pajaków, wyraźnie bierze ich stronę, cieszy się, że za chwilę będą mogły się najeść do syta, strufuje mnie, gdy mam ochotę popuścić im dzieło, urwać parę nitki z muszkami i zawiesić je w innym miejscu, gdzie pajakom nie idzie polowanie.

Jest wieczór, w dole płynie rzeka, przypominając, że wszystko przemija i zmienia się – *panta rhei*...

Słychać tajemniczy szmer fal, które opowiadają sobie tajemnicze sprawy.

Tej nocy rozszalała się nad miasteczkiem burza z błyskawicami i ulewą.

Kiedy na drugi dzień rano wszedłem znowu na podwieszany most nad Popradem, zobaczyłem istne pobojuwisko pajęczce. Nieliczne nici zerwane, fruwające na wietrzyku, tu i tam wisiały strzępy, jakieś pojedyncze nitki z przylepionymi do nich pojedynczymi trupami autorów tych sieci, pajaków.

Prawie wszystkie pająki wyginęły tej nocy, niektóre pospadały do rzeki, potopiły się, inne zginęły od ulewy, jak od szalejącego tsunami.

Ich wielki trud, ich mozolna praca, ich gorączkowa nadzieja – wszystko spęzło, zbladło, nic z tego nie pozostało.

Pomyślałem, że podobnie bywa z naszymi codziennymi marzeniami, nadziejami, kapryśkami, które tkamy misternie, podobni pajakom, ukryci w naszych wewnętrznych światłach.

A potem przychodzi zewnętrzna ulewa, apokalipsa, tsunami i nic z tego, czym skrycie się radowaliśmy, nie ma szans na przetrwanie. Ale przecież liczy się moment ożywiającej nas nadziei, ta chwila, gdy wierzymy, że „warto – jeszcze, jeszcze!”, „warto – więcej więcej!”, choć naprawdę mało z owej żłudnej wiary pozostaje, spełni się, ziści...

...Na końcu jednego z przęsł – para ocalałych pajaków, którym widocznie udało się przetrwać tsunami w szczelinach wsporników. Ich widok przy pracy napętnia otuchą i bezinteresownym wzruszeniem... że znów rozpoczynają taniec z nicią prowadzący do utkania nowej, wielkiej pajęczcej sieci.

Od początku, od zera, od jednej nitki decydują się stwarzać na nowo swój świat.

Jak człowiek...

Piwniczna, sierpień 2007

Siła marzenia

Z Piwnicznej tylko rzut beretem do Paszyna.

Po latach znów znalazłem się w wiosce zabitej kiedyś dechami, na której ślad odcisnęła marzyciel-społecznik, zmieniając jej oblicze. Uczyniłem go jeszcze za życia bohaterem mojego reportażu opublikowanego pod koniec lat 70.

Ale dziwnym zrzędzeniem losu z owym marzycielem-społecznikiem zetknąłem się też dużo wcześniej, jako dziecko w mojej wsi rodzinnej pod Tarnowem, gdzie również odcisnął trwały ślad w mojej pamięci.

Dziś w jednym z niemieckich przewodników turystycznych po Polsce można się doczytać, że Nowy Sącz leży koło... Paszyna – na tyle stał się znany, szczególnie kolekcjonerom sztuki ludowej. Najświetniejszy okres przeżywał w latach 70. Wtedy ukuto termin: fenomen paszyński. „W samym Paszynie około 60 ludzi stoi pod bronią – uzbrojonych

w koziki, farby i pędzle” – tak pisał w prowadzonych przez siebie kronikach ksiądz Edward Nitka. To właśnie on – jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej – ożywił uśpioną miejscowość. Przeobraził ją w zagłębie artystów naiwnych dnia siódmego, tak że wieś, licząca półtora tysiąca mieszkańców, spośród których stosunkowo duży procent stanowili ludzie niedorozwinięci i niepełnosprawni – stała się sensacją dla mass mediów, mekką dla kolekcjonerów. Przyjeżdżali tu Japończycy i Niemcy, Szwedzi i Francuzi. Szczególnie polubił ją Ludwik Zimmerer, Niemiec, właściciel największych i najcenniejszych zbiorów polskich prymitywistów.

Ksiądz dobrodziej Nitka wyciągał z kieszeni drobne kwoty i wypłacał autorom rzeźb od ręki, tak że trudno się dziwić, iż kozikowali na potęgę przy krowach i w wolne wieczory, bo im się to po prostu opłacało. Z czasem pozyskiwali stałych nabywców, przyjeżdżających tu, żeby zakupić zamówione świątki.

Owo pospolite ruszenie wiejskich kozikarzy nie miało sobie równego w Europie ani świecie. Były to jeszcze czasy, gdy sztuka prymitywna, ludowa cieszyła się wzięciem.

O Paszynie powstawały filmy i artykuły.

Rzeźbiarz Franciszek Pałka z Nowego Sącza, przed laty prawa ręka księdza Nitki, bo prowadzący warsztaty dla amatorów rzeźbienia, tłumaczy mi, dlaczego jeden człowiek potrafił mieć tak wielki wpływ na całą wieś:

– Namówienie ich do rzeźbienia to chwyt pedagogiczny genialnego wychowawcy, który nie miał wykształcenia z zakresu historii sztuki. Po pierwsze kochał tych ludzi, niekiedy brudnych, kalekich, obciążonych dziecinnym alkoholizmem, po drugie umiał do nich trafić, stworzyć klimat, by poczuli się godnie i wyzwolili z kompleksu działań paszyńskich. Wiedział, że w każdym istniejącym psychologicznym potrzeba sukcesu i na tej strunie wspaniale grał, chwalał ich z ambony za to, co robili. Niektórzy usłyszeli o sobie po raz pierwszy w życiu publiczne słowa akceptacji. Proboszczowi udało się ich porwać za sobą. Paszyn jest żywym dowodem, jak wiele może zdziałać jeden człowiek, gdy ma charyzmę i wierzy w to, co robi, bo robi to z serca. Ja z kolei opowiedziałem Franciszkowi Palce o przedpaszyńskim epizodzie życia kapłana, gdyż zetknąłem się z wikarym Nitką jako ministrant w moim rodzinnym Borzęcinie. Pamiętam, że przepadaliliśmy za nim jako uczniowie, bo nam kupił rękawice bokserskie i uczył sztuki pięściarskiej na ganku swej wikarówki.

W Paszynie ksiądz znalazł się „za karę”, gdyż w latach 1956-1957, stał się mimowolnym sprawcą „rewolucji” w moim Borzęcinie. Dał się tu poznać jako zapalony hodowca gołębi i parafianie pokochali go do tego stopnia, że zapragnęli po śmierci starego proboszcza, by został jego następcą. Kuria w Tarnowie nie zgodziła się jednak na to.

cdn.